

Kto wierzy w ISO?

Opublikowana w GEODECIE 11/02 polemika dr. Stanisława Dąbrowskiego z moją relacją z Pogorzelicą oraz ciekawy referat Wojciecha Tokarskiego z tej konferencji (GEODETA 12/02) skłaniają mnie do kontynuacji dyskusji o jakości w geodezji. Obaj panowie łączą z wdrażaniem ISO duże nadzieje, aczkolwiek różne są ich motywacje.

Stanisław Dąbrowski używa w swoim artykule stwierdzeń, według mnie nieprawdziwych, a które są kluczowe dla oceny sytuacji:

■ „klienci mają nawyk domagania się jakości” – dotyczy to wyłącznie dobrze wszystkim znanych artykułów konsumpcyjnych, a nie opracowań geodezyjnych, które albo są zgodne z wymaganiami, co potwierdzają stemple służby geodezyjnej, albo nie – i wtedy nie ma transakcji;

■ „klienci eliminują firmy nie spełniające wymagań rynku” – w geodezji dotyczy to tylko takich parametrów działania, jak cena oraz szybkość wykonania roboty, a nie jakość; każdy bubel można sprzedać, byle miał właściwe pieczęcie;

■ „państwo wprowadzi preferencje dla posiadających certyfikat” – pierwsze słyszę o takim postulacie do polskiej ustawy o zamówieniach publicznych, bo byłoby to naruszenie zasady równej konkurencji; ISO jako dodatkowy argument – tak, jako obowiązek – nie;

■ „partnerzy z krajów mocnych ekonomicznie nie będą brali pod uwagę organizacji nie posiadających certyfikatów” – moje 20-letnie biznesowe doświadczenie zawodowe, w tym bardzo intensywne w zakresie eksportu i importu usług, niczego takiego nie potwierdza, wręcz przeciwnie – ci najmocniejsi bez żenady przenoszą produkcję i usługi do krajów tańszych (Malezja, Chiny, Indie itp.), gdzie oczywiście też wymuszają jakość, ale przy wykorzystaniu swoich norm, a nie ISO;

■ „długofalowy rachunek ekonomiczny wykazuje wzrost zysków w wyniku otrzymania certyfikatu” – nie wiem, jak długą falę autor ma na myśli, ale ja w życiu nie widziałem żadnego biznesplanu z kalkulacją opłacalności tej inwestycji,

z wykazaniem oczekiwanych zysków, a tym bardziej analizy po n-latach, która by te oczekiwane zyski weryfikowała; czekam na przykłady.

Dalej autor pisze, że zgadza się ze mną co do nadzoru, ale uważa, że powinien on być pełniony przez „certyfikowany personel”. Nie wiem, co to znaczy, ale czyżby to, że aktualnie działający nadzór się do tego nie nadaje? Ciekaw jestem, co na to GUGiK i wojewódzcy inspektorzy nadzoru. Czekam na publiczną odpowiedź.

Wojciech Tokarski od lat zgłasza problemy, które mają ośrodki, oraz propozycje, jak im zaradzić. Nie powiem, że się z nimi zgadzam, ale widzę, że nie chowa głowy w piasek. Mam nadzieję, że opublikowanie tego tekstu zintensyfikuje dyskusję, co dalej z tworem pt. ośrodek. Mnie szczególnie zainteresowały przykłady błędów geodezyjnych pokazane w jego artykule. Z warszawskiego podwórka mogę potwierdzić, że są to sytuacje często spotykane. Zaszokował mnie wręcz wykaz rozbieżności między częścią opisaną a graficzną jakiegoś tam obrębu. Dotychczas miałem świadomość, że jako branża nie gwarantujemy obywatelom granic i powierzchni. Z przykładu jasno wynika, że nie gwarantujemy właściwie niczego – nawet nieruchomości na sztuki. Zdecydowany krok naprzód w jakości geodezyjnej.

W pełni więc zgadzam się z opinią autora, że geodeci otrzymują w ośrodkach jako materiał wyjściowy „chłam”, który ulokowali tam ich koledzy, natomiast ośrodek nie zweryfikował zaewidencjonowanego operatu. Otóż to!

Właściwie mamy dwa momenty weryfikowania jakości materiałów w ośrodku:

■ pierwszy to sprawdzenie roboty przez

nadzór, jej ewentualna poprawa i przyjęcie do zasobu;

■ drugi to sprawdzenie materiału przez następnego wykonawcę.

Pierwsze sito weryfikacji jakości jest bardzo dziurawe, o czym wszyscy wiedzą, ale nikt nie reaguje. Drugie natomiast wykazuje się niesłyszczaną wyrozumiałością zarówno w stosunku do pierwotnego wykonawcy dzieła, jak też do nadzoru, który je puścił. Z cytatu, który przytacza W. Tokarski, wynika, że w takiej sytuacji ten drugi wykonawca przyryka oko i podpisuje się pod następnym chłamek. „Bo projektant już tupie i wrywa mapę spod pisaka”. Zdumiewa jednak właściwie powszechne akceptowanie cudzych błędów – wszystkich wobec wszystkich w branży – bo przypadki dochodzenia źródła i autorów błędów są sporadyczne. Takie wzajemne akceptowanie przez geodetów swoich błędów powoduje nieustanną erozję jakości w geodezji. Po prostu nikt tego łańcucha braku odpowiedzialności nie chce przerwać. Na taki układ i ISO nie pomoże.

Autorom wspomnianych artykułów stan ten jednak doskwiera i chcieliby go zmienić. Pytanie tylko: jaką metodą. W. Tokarski wierzy w dwie – w Unię Europejską, która przyjdzie i wyrówna, oraz w ISO, które przyniesie IGiK. Dr Dąbrowski wierzy bezgranicznie w ISO. Problem jednak w tym, że dla niego i dla IGiK ISO to szansa na doskonały interes. Instytut wdraża i zawsze zarabia, niezależnie od tego, czy system gdzieś zadziała czy nie. Nikt nie dostanie gwarancji, że jakość usług w firmie czy ośrodku mu się poprawi. Może, ale nie musi. A zwrotu kasy nie ma. Przedsięwzięcie ma więc charakter komercyjny, a artykuł dr. Dąbrowskiego ma po części charakter promocyjny. Trzeba to wyraźnie powiedzieć. Mam też nadzieję, że ewentualne koszty certyfikacji ośrodków nie będą pokrywane ze środków funduszu gospodarki zasobem geodezyjno-kartograficznym.

Nie jestem ani wrogiem, ani sympatykiem ISO. Patrząc na certyfikat i na zimno kalkuluję, czy to się opłaca. Rozważam też, czy nie jestem wystarczająco dobrym inżynierem, żeby w firmie wprowadzić swój system jakości. Na razie wychodzi mi, że jestem.

Inni też powinni mieć wolny wybór. Recepty na jakość są różne, każdy jednak swoją powinien stosować. Ale o to jest najtrudniej.

Marek Ziemak